

WIECZORY RODZINNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Obserwatorium meteorologiczne.

Burze wędrujące.

POGADANKA NAUKOWA.

— Ojczulku, co tam barometr mówi, czy będzie dziś pogoda? — pytała Antosia, która miała wielką ochotę pojechać po obiedzie do Łazienek, a matka powiedziała, że pogoda niepewna i nie można będzie jechać, jeżeli się zupełnie nie wyjaśni.

— Barometr spadł trochę od rana — odpowiedział ojciec, — to jednak nie dowodzi, ażeby miał

być koniecznie deszcz, bo dziś jest bardzo wietrzno. Może właśnie ten wiatr i chmury rozpędzi.

— Ale kiedy spadł barometr... — rzekła Antosia zasmucona.

— Tobie się zdaje, że jak barometr spadnie, to zaraz i deszcz musi padać — odezwał się Leonek — a on wcale nie to wskazuje. Właśnie nam wczoraj na lekcji fizyki tłómaczył profesor o barometrze.

— I mówił, że dziś będzie pogoda?

— Zabawna jesteś, a z kądże on to wiedzieć może.

— A od czegoż jest uczonym? A zkądże wiedzą ci, co w kalendarzach piszą, jaka będzie pora w każdym miesiącu przez cały rok?

— O, nie radzę ci tym przepowiedniom dowierzać, córeczko — rzekł ojciec — autorowie takich kalendarzy żartują sobie ze swoich czytelników, pisząc rzeczy, o których żadnym sposobem wiedzieć nie można. Uczni ludzie bardzo pilnie od niejakiego czasu zaczęli się zajmować badaniem ruchów powietrza, to jest wiatrów, które i o deszczach stanowią, ale dotąd jeszcze nie wykryli tyle, aby mogli stan pogody naprzód odgadywać.

— A jakimże to sposobem, proszę ojca — zapytał Leonek — z Ameryki dają znać telegrafem do portów europejskich, kiedy ma być burza i marynarze wtenczas starają się zabezpieczyć okręty. Słyszałem na własne uszy, jak wujaszek to czytał w jakimś dzienniku.

— Z Ameryki, telegrafem! — mówiła Antosia — więc oni tam mogą odgadnąć, kiedy w Europie będzie burza? Ale czemuż marynarze europejscy nie nauczą się od Amerykanów, jak się to zgaduje? nie byłoby kłopotu z wysyłaniem telegramów.

— No, jakże ci się zdaje, Leonku — rzekł ojciec — jakim to sposobem się dzieje, że łatwiej przewidzieć europejską burzę w Ameryce, aniżeli tu na miejscu?

— A czy ja tam wiem? — powiedział Leonek wzruszając ramionami — słyszałem tylko, jak wujaszek to czytał.

— Ale nie zrozumiałeś, o eo idzie, nieprawdaż? Nie dziwię ci się, synu, bo zdarza się to nieraz i starszym, że słyszą jak dzwonią, a nie wiedzą w którym kościele. Zawsze to jednak zły zwyczaj, i radzę ci na drugi raz dokładniej się dowiadywać o każdej rzeczy, która uwagę twoję zwróci.

— Ojczulku, jabym tak chętnie się o tém dowiedziała, gdyby ojczulek zechciał tylko opowiedzieć — rzekła Antosia z przymileniem.

— I jabym także posłuchał — dodał Leonek.

— Byleście tylko słuchali — powiedział ojciec z uśmiechem — ja zawsze gotów jestem objaśnić wam wszystko, czego nie rozumiecie. Ale najpierw muszę powiedzieć Antosi, bo Leonek już to wie z lekcji fizyki, co mianowicie wskazuje barometr. Powietrze, jakkolwiek nikłe i przezroczyście, ma jednak ciężar, a cała ta rozległa atmosfera, otaczająca naszą ziemię, naciska ją porządnie. Najprostszy barometr składa się z rurki szklanej z denkiem i miseczki z rtęcią. Rurkę, także rtęcią napełnioną, zanurza się w owęj miseczce, dnem do góry; wówczas rtęć z rurki przelewa się do miseczki, ale pozostaje w rurce słupek dość wysoki, i ten nie opada. Dla czego? Ażeby to zrozumieć, weźmy krążek z dziurką po środku i naciskajmy

nim kupkę piasku. Piasek wystąpi przez dziurkę i nawet się rozsypie, jeśli mocniej pociśniemy. Na owę rtęć w miseczce naciska z góry powietrzniak, atmosfera, ale w rurce jest próżnia zupełna, powietrze się z niej usunęło w chwili, gdy ją napełniano rtęcią; więc część tej rtęci opadła, a część utrzymała się, bo jej nic z góry nie przyciska, tak zupełnie jak w tym krążku, gdzie jest dziurka po środku.

— Aha ha! — zawołała Antosia — rozumiem, to tak zupełnie, jakby ta rurka była dziureczką przewierconą w powietrzu. Ono ciśnię na denko u góry, ale do środka dostać się nie może i tam jest pusto.

— Otóż właśnie. Ale powietrze jest niezmiernie ruchliwe, od ciepła się rozszerza i wtenczas lżejsze się staje, od zimna znów staje się gęstsze i cięższe, zaraz też przepływa z miejsca na miejsce, ażeby się do równowagi ułożyć, a ztąd ustawiczne powstają wiatry. Tam gdzie powietrze jest cięższe i więcej naciska na rtęć w miseczce, tam ona w rurce wyżej się podnosi, gdy zaś powietrze staje się lżejsze, zaraz ponad miseczką ubywa ciężaru i rtęć w rurce barometru opada niżej. Barometr więc wtedy nie oznajmia, że będzie deszcz, tylko, że ciśnienie powietrza się zmniejszyło, to znaczy, że ono w tém miejscu jest rozrzedzone i lekkie. W naszym klimacie zwykle takie ogrzane i lekkie powiewy powietrza przynoszą z sobą wilgoć i dla tego to opadanie barometru uważane jest za przepowiednię deszczu. Gdy zaś rtęć w barometrze bardzo opadnie, można się spodziewać, nie tylko deszczu, ale i burzy, bo do takiego miejsca, gdzie powietrze nadzwyczajnie jest rozrzedzone, napływa inne, cięższe, z wielką gwałtownością. Innego rodzaju barometry na odmiennym mechanizmie polegają, zawsze jednak jest w nich przestrzeń wypowietrzona, a wskazówka oznacza większe lub mniejsze ciśnienie atmosfery dokoła tej przestrzeni.

— Ale, mój ojczulku — zapytała Antosia — dla czegoż to powietrze się tak dziwnie w niektórych miejscach rozrzedza?

— Wszakże wspominałem przed chwilą, że powietrze, tak samo, jak wszystkie ciała, rozszerza się od ciepła, a wiecie przecież, jaka jest wielka różnica ciepła w rozmaitych okolicach na ziemi. Pod równikiem upały panują, pod biegunami znów mrozy, cóż dziwnego, iż w krajach zwrotnikowych powietrze ustawicznie się rozszerza, staje się rzadsze i lżejsze, a w krajach podbiegunowych przeciwnie jest gęste i ciężkie.

— To dobrze, ojczulku, w tych dalekich krajach, ale u nas przecież klimat umiarkowany.

— I u nas jednak bywają dni cieplejsze i zi-

mniejsze, w dzień, gdy słońce przygrzewa, jest cieplej, a w nocy zimniej. Ruchy w powietrzu powstają z najmniejszej niejednostajności. Nie sądźcie jednak, ażeby te upały zwrotnikowe i mrozy podbiegunowe nie miały wpływu na wiatry w naszym kraju. W całej atmosferze przepływają ustawiczne prądy, jakby ogromne rzeki powietrzne; jedne od równika do biegunów niosą lżejsze powietrze, drugie znów od biegunów do równika przenoszą cięższe, a nigdy nie mogą się te warstwy ułożyć do równowagi. Przekonano się, że główne prądy mają kierunki stałe w atmosferze, zawsze jednakowe. W krajach zwrotnikowych te stałe prądy występują bardzo wyraźnie; są to tak zwane pasaty, czyli wiatry alizejskie i musony, żeglarze znają je doskonale. Jeszcze Kolumb, płynąc do Ameryki, napotkał stały wiatr, który okręty jego popychał ciągle na zachód, a majtkowie przerazili się na myśl, że będą musieli za powrotem płynąć przeciw wiatru. Na powstawanie wiatrów i ich kierunki wpływa przeważnie ciepło, a następnie ruch obrotowy ziemi. Jak we wszystkich zjawiskach przyrody, tak i w tych ruchach powietrza panuje niewzruszony porządek, nic się nie dzieje bez przyczyny, a wszelkie zmiany w kierunku głównych prądów, wszelkie miejscowe i chwilowe zaburzenia, także według pewnych praw odbywać się muszą. Kiedyś może przyjdzie czas, gdy ludzie potrafią te prawa zbadać dokładnie, a wówczas będą mogli naprawdę przewidywać zmiany pogody.

— Ale niechże ojczulek teraz wytłómaczy, jakim sposobem Amerykanie już dziś umieją czasem przewidywać burze i dają znać o tém do Europy telegramami? — spytała Antosia.

— Właśnie też o to głównie nam chodziło — odrzekł ojciec — i pora już przystąpić do tego wyjaśnienia. Ludzie uczeni dopiero w najnowszych czasach zabrali się gorliwie do oznaczania wszystkich ruchów powietrznych, a w tym celu urządzone są w różnych miejscach stacje meteorologiczne. Meteorologią nazywają naukę o meteorach, czyli zjawiskach powietrznych.

— Meteory, to gwiazdy spadające, nieprawdaż ojczulku? — spytała Antosia.

— W pospolitej mowie nazwę tę stosują zwykle do gwiazd spadających, ale w znaczeniu naukowym, każde zjawisko, odbywające się w atmosferze, wiatr, deszcz, burza, nazywa się meteorem.

— Nie przerywaj, Antosiu — odezwał się Leonek — jabym tak chciał już usłyszeć o tych telegramach, co donoszą o burzy.

— Zaraz do nich dojdziemy. Widzicie tu na rysunku, moje dzieci, stacją meteorologiczną, urządzoną w Ameryce północnej, na najwyższym szczycie gór skalistych, na górze Waszyngtona.

W takiej stacji są rozmaite przyrządy do mierzenia kierunku, szybkości i siły wiatru, a najważniejszym z tych wszystkich przyrządów jest zawsze barometr, który odmierza ciśnienie powietrza. Stacje meteorologiczne połączone są pomiędzy sobą drutami telegrafów i z jednej do drugiej dają znać o zmianach, zachodzących w powietrzu. Takie pilne i uważne badania wykazały, że i gwałtowne zaburzenia powietrza, to jest burze, nawałnice, płyną z prądami coraz dalej i dalej, przebiegają ogromne przestrzenie i to po drogach stałych, które można nieraz dokładnie oznaczyć. Często się zdarza i u nas, że w jakiejś wiosce szaleje straszna burza, naprzykład z rana, a później nadchodzi wiadomość o takiej samej burzy, która gdzieś dalej wybuchła o południu. Łatwo domyślić się można, iż to też sama nawałnica przeleciała z wихrem z jednego miejsca na drugie. W gwałtownych burzach powietrze odbywa ruch wirowy i postępowy zarazem, zupełnie, jak gdyby walca tańczyło. Wiry podobne tworzą się także nieraz i w rzekach, gdy woda w nich płynie niejednostajnie, w jednym miejscu prędkiej, w drugim wolniej. Z zetknięcia dwóch prądów niejednostajnych, lub w odmiennych kierunkach dążących, powstają i w powietrzu wiry olbrzymie, które w krajach zwrotnikowych daleko gwałtowniej występują niż u nas. Jednak i w naszym klimacie zdarzają się czasem trąby, które straszne sprawiają zniszczenie. Trąba jest to ruch wirowy powietrza, wiatr ten spuszcza się nakszałt olbrzymiej śruby z góry na dół, wszystko porywa po drodze, a ponieważ zwykle cały ten słup wirujący powleczone jest mgłą i deszczem, więc kształt jego nawet dokładnie wiedzieć można w otaczającej atmosferze. Przekonano się, że prądy powietrza, przynoszące burze do Europy, zawsze przybywają z zachodu, płyną ponad Oceanem Atlantyckim, zakreślając ogromny łuk. Jeśli więc nawałnica wybuchnie na wschodnim wybrzeżu Ameryki, łatwo przewidzieć można, że ztamtąd popłynie dalej w kierunku wschodnim i zawita na wybrzeża europejskie. Ale telegram daleko chyżej bieży od najszybszych wихrów.

— Ach, teraz już wiem, już rozumiem — przerwał Leonek. — Oni tam w Ameryce nie odgadują tego żadnym czarodziejskim sposobem, tylko wiedzą już z doświadczenia, że ta burza, co się u nich sroży, popędzi potem do Europy i zaraz o tém znać dają. Nieprawdaż, ojczu?

— Bardzo roztropnie mówisz, synu. W przyrodzie często ludzie natrafiają na odkrycia, bardzo do czarów podobne, a zawsze, im lepiej poznają dzieła Boże, tém więcej się przekonywają, że w nich panuje niewzruszony ład i porządek. Na

pozór zdawałoby się, że nic niema kapryśniejszego na świecie, jak powiew wiatru, jak burza, nawałnica. A jednak i temi zjawiskami kierują pewne prawa. Trudne one są bardzo do podpatrzenia, nie dziw więc, że dziś jeszcze często myślą się w tém przewidywaniu i oznajmianiu burz, ale nieraz obliczenia się sprawdziły, a i to już wiele znaczy. Dopatrzone naprzykład z największą pewnością, że ruch wirujący i postępowy burz odbywa się zawsze w jednostajnym kierunku; na półkuli północnej zawsze postępuje od prawej ręki do lewej, wskazówki zegarka leżącego na stole przed nami posuwają się w kierunku odwrotnym tym ruchom burz. Na półkuli południowej burze wirują i posuwają się wręcz przeciwnie, to jest w tym samym kierunku, co wskazówki zegarka. Żeglarze, którzy się z temi prawami dobrze zapoznali, nieraz już ratowali swoje okręty na morzu od gwałtowności huraganów. Wiedzieli bowiem, z której strony nawałnica nadciąga, a tém samém wiedzieli także jaką drogą posuwa się dalej, mogli każdy zakręt straszliwego wiru oznaczyć, i tak umiejętnie, tak zręcznie pokierować okrętem, aby uniknąć miejsc, gdzie występuje najgwałtowniejszy wicher, a siła orkanu jest najgroźniejsza. Taki roztropany żeglarz, ujrawszy zdaleka nadciągający huragan, natychmiast, według znanych sobie obliczeń, zaznacza na mapie cały krąg, po którym wichura będzie przechodziła, wie naprzód, gdzie natężenie jój będzie najstraszniejsze, gdzie słabsze, a zawsze w takiem kole wirującym jest jedna strona bezpieczniejsza, tam więc i okręt swój skieruje.

— A czy nie można uciec od tego okropnego huraganu, ojczulku? — zapytała Antosia.

— To trudno, moje dziecko, okręt nie może prześcignąć tak gwałtownego i chyżego wichru.

— Jabym jednak chciał wiedzieć, jak to się poznaje te miejsca bezpieczniejsze i dla czego jedna połowa wiru jest mniej straszna od drugiej — odezwał się Leonek.

— Wyobraź sobie ogromne koło, jeden zakręt śruby, posuwającej się ciągle naprzód. Prąd powietrza wykonywa tu jakby dwa ruchy, posuwa się naprzód i wiruje na miejscu. Otóż z téj strony koła, gdzie się zawraca, cofa się niejako, chyżość słabnie nieco, bo prąd musi opierać się ruchowi, który go pcha naprzód. Tam więc jest miejsce bezpieczniejsze.

— Teraz rozumiem, ojczu — mówił Leonek — to doprawdy bardzo dziwne i bardzo ciekawe.

— Ach, ojczulku! — zawołała Antosia, biegnąc do okna — jak ślicznie się wypogadza, choć barometr spadł. Pojedziemy do Łazienek.

— Tak, tak, wiatr rozpędził chmury — rzekł ojciec — może deszcz będzie aż w nocy.

— A niech tam sobie w nocy pada, byle nam w dzień nie przeszkodził — wołała dziewczynka i pobiegła oznajmić matce, że się wypogadza.

M. J. Z.

LILA I SŁOWIK.

W ogrodzie raz wcześniej,
W pierwszy dzionek wiosny,
Ozwał się słowiczek —
A z nim jednocześnie
Ucieszny, radosny,
Dziecięcy głosiczek.
Ptaszatko siedziało
W czeremchy krzewinie;
W kwiateczków gąszcz białą
Schowane — wpół ginie...
Lilusia w traw łące,
Jak rybka tuż płynie:
Narcyzów tysiące
Zagląda jój w oczka,
A ona, jak skoczka,
Płasając w zieleni,
Swój buzi kwiatuszkiem,
Jak rajskim z róż puszkciem,
Wśród nich się rumieni.

Wtém ptaszka spostrzega...

Szuj dalej nie biega,

A słowik do Lili

Nawzajem się mili.

I ptaszynka.

I dziecinka,

Na siebie patrzyły:

Rade sobie,

Bo też obie

Takie śliczne były!

LILA.

Słowiczku kochany!

Jak tobie wesoło!

Tyś w piórka ubrany,

Ty bujasz w okolo!

SŁOWIK.

Dziecino ma słodka,

Ty bując masz chyżej —

Bo twoja istotka

Nastrojona wyżej!

LILA.

Lecz ty masz skrzydełka,

Pod nieba cię niosą —

A z twego garełka

Śpiew płynie jak rosą...

SŁOWIK.

Masz, dziecię, modlitwę,
Coć niesie do nieba;
Mnie z tobą w gonitwę
Ulatać nie trzeba.

LILA.

O! radość twa inna!
Tak pachnie ci wszędzie...
Ty mieszkasz wśród woni...

SŁOWIK.

Duszycka niewinna,
Gdy cnotę zdobędzie,
Wonność wieje od niej.

LILA.

O ptaszeczku,
W swém gniazdeczku
Masz pisklatek tyle!

SŁOWIK.

O dziecino,
Wam z rodziną
Ileż szczęścia — ile!

LILA.

Lecz ty, ptaszku, masz w gardziółku
Skrzypeczki tak słiczne!

SŁOWIK.

A ty w sercu masz, aniołku,
Uczucia tak liczne!

Każde tam jak strunka
W lirence kochania,
Miłości zwiastunka,
Pieśń Panu podzwania!

LILA.

O! słowo więc dajmy,
I razem śpiewajmy
Panu Jezusowi:
Kto głośniéj,
Miłośniéj,
Swe serce wypowie!
Dobrze, ptaszynko?...

SŁOWIK.

Dobrze, dziecinko.

I ptaszynka świągotała,
I szczebioce Lila mała.
A tymczasem czas pomyka.....
Przeszło lato dla słowika,
Przeszło życie dla dzieciny...
U różanej raz krzewiny,
Po całodziennéj piosence,

Gdy ostatnich sił dobywał,
Nie stało głosu w lirence:
Pękło gardziółko słowiczka —
Na śmierć się zaśpiewał!

A Lila, jego siostrzyczka,
Życiem, jak pieśnią miłości,
Do nieba szła coraz prościéj,
Ciernistą lat ziemskich dróżką:
Kochała,
Cierpiała.....
Nie pękło serduszko!

W. M.

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANÉJ FALI.

Zakłète dziewczę.

Świetna uroczystość odbywała się w Warszawie r. 1694. Było to wesele córki Jana III-go, Kunegundy Teresy, z księciem Elektorem bawarskim, Maksymilianem Emanuelem. Ludek ciekawy, gęsto kupiący się koło zamku królewskiego, rozповідаł sobie, że jak świat światem nie widziano jeszcze takiego zjazdu, takiego przepychu, takiéj wspaniałości. Rzeczywiście, najmożniejsze rody z całej Polski zjechały wszystkie na ten obrzęd do Warszawy, ze wszystkimi pannami i paniami. Była więc sposobność do wystąpienia z całą wspaniałością.

Niektórzy możni panowie, przybywający choćby z krańca polskiej ziemi, mieli własne dwory i kamienice w Warszawie. Inni pomieścili się u nich. Miasto było nabite gośćmi na parę miesięcy przed weselem. Korzystano z takiego zbliżenia krewnych i przyjaciół, urządzając między sobą przeróżne zabawy, uczyty, tańce. Patrząc bacznie, można było powiedzieć, że nie przestawano wcale bawić się i ucztować, bo śniadania, drugie śniadania, obiady, podwieczorki, wieczery, podkurki itd. następowały po sobie dniem i nocą. Przerwy między ucztowaniem wypełniały tańce i muzyka. Tak skracano sobie czas oczekiwania na główną uroczystość. Ledwo gdzieniegdzie po kątach kilku poważnych mężów radziło nad czemś ważniejszém.

Nareszcie nadszedł dzień wyznaczony. Kamienice po obu stronach ulicy, wiodącej od zamku do kościoła św. Jana, przystrojono kobiercami, i mnóstwem kwiatów i zieleni. Ulicę samą wysłano szkarłatnym sukniem. Kamienice były też przystrojone podobnie i w okół placu zamkowego i w całym mieście. Właściciele ich przesadzali się w tém. Ludek zaległ place. Miejska służba

z trudnością utrzymywała wolne przejścia, któremi co chwila bogato strojone orszaki pańskie udawały się do zamku. Ruch, gwar radosny, wrzawa wesoła napełniała gród nadwiślański.

I w samym zamku nie mniejszy ruch panował, acz cichszy. Dzwony kościelne brzmiały, w wielkiej zamkowej sali znajdowały się zgromadzone najznakomitsze osoby, otaczające króla, królową i pannę młodą. Teresa Kunegunda, młoda, miła, lecz nieładna, ubrana była w suknię bardzo długą ze srebrnej lamy wzorzystej, rozpiętą na szerokiej rogówce. Suknia taka, zdjęta z niewiasty i postawiona na ziemi, mogła stać prosto sama o sile własnej sztywności, jakby zrobiona z tektury. Na tej sukni była druga koronkowa biała, dyamenty pokrywały szyję i ramiona odkryte przy bardzo wyciętej sukni. Włosy utrefione mocno w sztuczne kędziory i loki, przybrane kwieciami i zielenią, zdobiła korona. Purpurowy płaszcz książęcy spadał od ramion, podbity gronostajami. Dziewice najznakomitszych rodzin nosiły długie ogon książęcej szaty.

Wtém drzwi rozwarło szeroko i wszedł król-wicz Jakób, ubrany po francuzku, w aksamity barwiste, atłasy, koronki, spinki, i kosztowności. Na głowie miał ogromną perukę wedle francuzkiej mody, przy boku szpadę z bogatą rękojeścią. Brat przybywał w nielicznym lecz świetnym orszaku, jako pełnomocnik księcia elektora bawarskiego, dla poślubienia w jego imieniu siostry. Podał więc rękę siostrze i po załatwieniu odpowiednich formalności odprowadził ją po szkarłatem wystanej drodze do kościoła św. Jana. Za nimi szła rodzina królewska, przed nimi i za rodziną szli najwyżsi dygnitarze państwa, i najznakomitsze panie. Duchowieństwo czekało u drzwi kościelnych na przyjęcie państwa młodych. Kardynał arcybiskup gnieźnieński dopełnił obrzędu ślubnego.

Po powrocie do zamku nastąpiło zwykle w owych czasach składanie darów pannie młodej. Potém był świetny bal, oświetlenie całego zamku, ogrodów i jego okolic, sztuczne ognie i wielka uczta dla ludu. Były i przedstawienia teatralne, odegrane na zamku, i opera we włoskim języku, śpiewana i ułożona przez pana Santa-Croce.

Słuchając tego przedstawienia, siedziała pani młoda na podwyższonem krześle w bogatym stroju i zawsze w książęcym płaszczu, który dopiero po przedstawieniu jej zdjęto. Obok niej matka, Marya Kazimiera, dumna i tém bardziej o powierchowne oznaki książęcej godności dbająca, że nie urodzona w purpurze. Ona to, ta dumna matka, odziała córkę w płaszcz gronostajowy, chociaż Teresa Kunegunda i ojciec jej Jan III-ci

inne w tym względzie mieli zamiary. Ale Marya Kazimiera w drobnem ciele silną miała wolę i upartą, i przeto, jak wszystko zawsze dotąd, tak i małżeństwo córki zawarte zostało wedle jej woli. Teraz dopiero król-wicz Jakób zaczynał się jej opierać, ztąd niezgoda i zgryzota jątrzyła rodzinę królewską. Ogromnie długa aksamitna szafirowa złotem haftowana suknia stroiła królową, naddając długością ogona niby, co brakło królowej pod względem wzrostu. Po drugiej stronie krzesła ukochanej córki siedział król, ocięzający od zbytnej tuszy, znegany widocznie, aż do zubożenia. Ta obojętność wybijała mu się już teraz z wiekiem na lica, nacechowane przecież wyrazem dobroci. Łza prawdziwego współczucia zakreśliła mu się nieraz w oku, gdy spoglądał na córkę, ale mimo to nie umiał on dla szczęścia tej córki oprzeć się niweczącej je dumie królowej. Dalej siedzieli królewicze i dygnitarze z rodzinami.

Poza krzesłem Teresy Kunegundy, tuż przy niem i z boku poza królową, siedziało jeszcze kilka panien ulubionych młodej terażniejszej księżnie elektorowej. Były to też same panny, które idącej do ślubu unosiły ogon szat książęcych. Księżna sama wyznaczyła je do swych usług na czas weselny, a despotyczna matka królowa pozwoliła na ten mały kaprys, zadowolwszy się posłuszeństwem córki w rzeczy ważniejszej. Kaprysem zaś był ten wybór panien ze strony księżnej dla tego, że powodowała się ona w tém jedynie tylko jakąś sympatyą niewytłómaczoną. Zamiast panien Zamojskich, Jabłonowskich, Sieniawskich, lub wreszcie Francuzek, któremi otoczona była od dzieciństwa, księżna wybrała sobie na orszak godowy kilka wieśniaczek znakomitych rodów, przybyłych na tę uroczystość z rodzicami po raz pierwszy dopiero do Warszawy i na dwór królewski. Może podobały jej się te dziewczeczki i nic więcej. A może chciała schronić się wśród nich przed siecią dworskich intryg, gadanin i sprawek przeróżnych, któremi wrzał dwór Maryi Kazimiery, znajdując odgłos nawet w dziewczęcém otoczeniu królowy. Może córką powodowała w tym razie ta sama chętka wytchnienia, jaką powodowany jej ojciec chronił się do Wilanowa, by drzewka tam sadzić spokojnie. Co znaczyło, że łatwiej mu było radzić sobie z Tatarami, niżeli z domową niezgodą.

Bądź co bądź wybrany orszak paniński otaczał księżnę nieodstępnie. Z pomiędzy zaś orszaku tego odznaczało się jedno dziewczę, a wyborowi temu dziwili się niektórzy najbardziej, a inni przeciwnie utrzymywali, że w tym razie właśnie wybór był zupełnie usprawiedliwiony. Albowiem panienka ta była tak niesłychanie i niezwykle

piękną, że Marya Kazimiera nigdyby takiego wzoru piękności nie postawiła obok siebie samej, ani obok swjej córki, aby nie wywoływać porównania. Ale była też panienka ta tak niezmiernie uczoną i rozumną, że zachwycenie się nią dowodziło w młodej księżnie i zacnej niewieście dobroci i braku zażdrości, i prawdziwego także rozumu. Bo księżna zachwyciła się nią po prostu i dla tego wybrała ją sobie na towarzyszkę od pierwszego ujrzenia, co stało się już przed miesiącem, dziewczę to przed miesiącem albowiem przybyło z rodzicami na uroczystość po raz pierwszy na dwór królewski.

Była to Teresa Izabella Morsztynówna, córka pana Stanisława Morsztyna z Raciborska, wojewody sandomierskiego, urodzona w r. 1680, a więc w epoce uroczystości weselnych na królewskim dworze mająca lat dopiero czternaście. Przed miesiącem, w chwili, gdy na pokojach królowej pan wojewoda sandomierski po raz pierwszy córkę przedstawiał, wszystkie oczy zwróciły się na nią odrazu, nie tylko dla piękności, ale także i dla sławy, jaką ta młodzianka istota już wówczas w całej Polsce i daleko za granicą pomiędzy ludźmi słynęła. Przyczyną tej sławy był ów rozum i uczoność Morsztynówny. Jakkolwiek to się może nieprawdopodobnym wydawać, przecież tak było. A zresztą w tém dziewczęciu wszystko było dziwnym, i sama jej piękność także, bo w czternastu latach niewiasty zazwyczaj jeszcze nie bywają pięknymi, choćby niemi miały być później, jak nierozkwitła róża nie bywa tak piękną, jak po zupełnym rozkwicie.

A przecież Morsztynówna, o włosach koloru bladego złota, o wielkich oczach czarnych błyszczących, głębokich, z czarnemi rzęsami, o rysach tych wdzięcznych linii, jakie grecki geniusz jako wzór piękności podał wiekom następnym. Była piękną piękną, niepojętą dla tego, kto jej nie widział. Raz włoski malarz, artysta prawdziwy, ale przytém i sztukmistrz, efekta lubiący, odwiedził dworzec pana Morsztyna. Rano poszedł sam jeden, jako miłośnik sztuki, zwiedzać kaplicę domową pełną arcydzieł. Aż nagle wpada do pana Morsztyna, machając rękami we włosko-artystycznym uniesieniu, zapytując, który mistrz jest twórcą obrazu Maryi Magdaleny pokutującej w zupełnie nowym i nieznanym stylu, tego obrazu cudownego, który jest umieszczony po lewej stronie ołtarza kaplicznego za wielką złotą kratą?... Pan Morsztyn oczy na gościa wypatrzył i zapewnił go, że takiego obrazu w kaplicy niema! A potem, na prośby Włocha, poszedł za nim do kaplicy, nie wiedząc co o tém sądzić.

I otóż wszedłszy cicho i przystąpiwszy ku ołtarzowi z cichością należąą świątyni, ujrzał pan wo-

jewoda własną córkę swą Teresę, jak klęczącą w głębi modlitewni swjej modliła się u stóp krzyża; modlitewnia maleńka przylegała z jednej strony do panieńskiego pokoiku Morsztynówny, z drugiej tylko niska złota kratka oddzielała ją od kaplicy. Teresa w porannej białej pod szyję sukni, sznurem jedwabnym białym w pasie ujęta, odmawiała jak codzień zwykłe poranne modlitwy. Ciemność modlitewni bez okna, rozpraszana tylko lampką niewidzialną, bo z boku za krzyżem zawsze tam płonąca, dopełniała złudzenia. Morsztynówna w takim otoczeniu wyglądała istotnie, jak obraz Maryi Magdaleny, ale w zupełnie nowym stylu, jak to powiedział Włoch, bo w takim, o jakim wówczas nikt jeszcze nie pomyślał.

Kiedy indziej znów stał się raz z południa straszny gwar w Sandomierzu. Pastuszki, pasący bydło, wpadli gromadą do miasta, wołając, że na cmentarzu, koło którego mieli swe pastwisko, ukazał się duch!... Połowa miasta wyległa z księdzem na czele, pragnącym lud uspokoić. I otóż u bramny cmentarnej ujrano starego masztalerza Morsztynów, trzymającego pięknego konika z damskim jeźdźnym kosztownym przyborem, a w głębi zieleni ujrano nieruchomą Morsztynównę, zadumaną nad grobem stariej sługi, która ją wychowała. W jasnej, długiej sukni do konnej jazdy, z rozpuszczonym w połowie i gładkim wbrew modzie jasnym włosem, wysmukła, wsparta ramieniem o dąb olbrzymi, w istocie mogła ona znowu usprawiedliwić pomyłkę. Niechże te pomyłki dadzą miarę, jakiego rodzaju była piękność tej cudnej Morsztynówny.

Co do jej uczoności i rozumu, można tylko powiedzieć, że ojciec jej Stanisław, znakomity rycerz z pod Chocima, Cudnowa, Żórawna i Strygonia, był także wielce i prawdziwie uczonym człowiekiem, pisarzem w wolnych chwilach, bywalcem po zagranicznych uniwersytetach i zbiorach uczonych, i znawcą ich niepospolitym. Córka mogła odziedziczyć zdolność i zamiłowanie do nauk po ojcu, chociaż nie zawsze tak bywa. Zbiory arcydzieł sztuki ją otaczały, ludzie uczeni cisnęli się dokoła niej, a pomiędzy tymi uczonymi, częstokroć cudzoziemcami, przybywającymi z dalekich krajów, nie znalazł się żaden taki, z którymby we własnym jego rodzinnym języku nie rozmawiała Morsztynówna z całą swobodą. Żaden nie dorównywał jej wiadomościami, głębokością myśli, i zgłębianiem starożytniej literatury greckiej i rzymskiej, co było jej ulubionem codziennem zajęciem.

Ale dziewczątka oddawało się tym studjom z istotnego zamiłowania, więc nic w tém nie było na pokaz, z próżności. To też w rozmowie wciągając ją musiano w sfery uczone. Zdarzało się więc, że

prawdziwi uczeni, z którymi powab wymiany myśli roztworzył usta Morsztynówny, uczuwaliby wkrótce pewien rodzaj przestachu, jakby w obcowaniu z duchem, i mówili między sobą, że ta mądrość w dziecku jest przerażającą... cytowano słowa pisma, opiewające, że przyjdzie czas na końcu świata, gdy dzieci mądre prorocтва wygłaszać będą. A tymczasem inni, którym nie udało się zajrzeć do głębi duszy tego zjawiska, zachwycali się właśnie skromną prostotą i zdrowym tylko rozsądkiem dziewczynki. Chorzy i ubodzy okoliczni, umierający i sieroty bezdomne, znali z innej strony Morsztynównę, zowiąc ją aniołem miłosiernym.

Taką to dziewczeczkę przywiózł ojciec na wielką uroczystość dworską, na wyraźne żądanie króla, proszonego o to przez królowę, zdawna ciekawą tego zjawiska cudnego, o którym jej dużo mówiono. Król sam niemniej był ciekawy. Królowa tylko ramionami wzruszała, nie dbając o mądrość niepraktyczną z jej punktu widzenia, i nie lubiąc w ogóle kobiet bardzo pięknych. Nie sprzeciwiła się jednakże prośbie królowy w rzeczy tak podrzędnej. A Teresa Kunegunda Sobieska rozkochała się poprostu od pierwszego wejrzenia w swą imienniczkę Teresie, Izabelli Morsztynównie. Kochanie to wzmocniło się i stało dziwnie głębokiem po kilku dziewczęcych między nimi cichych gawędkach, w ustronnych od weselnego gwaru panieńskich królowy komnatach, lub w ogrodzie za zamkiem, na szczycie tarasów nad Wisłą, z kąd oko mogło swobodnie wraz z myślą zapuszczać się w tajemnicze przestwory, w wędrówkę po niebie i ziemi, pełną niewytłómaczonych cudów.

Wiadomo, że król Jan odebrał niepospolicie staranne w młodości wykształcenie, to też czem skorupka z młodu nasiąkła, to mu pozostało na zawsze; świątły był, i miłował naukę, a córka ukochana była znów podobną do niego, jak królówic Jakób podobny był do matki, jak Morsztynówna podobną była do swego ojca. Więc choć królowa sama naprawdę wcale nie była biegłą w nauce, jako pod wpływem głównie próżnej, zręcznej i dumnej matki wychowana, to przecież miała dość ojcowskich przymiotów, aby Morsztynówną, jako zjawiskiem niezwykłym się zdumiewać i ocenić ją należycie, aby ją jako serdeczną i prostą dziewczeczkę serdecznie przytęm pokochać. Dla tego nie puszczala jej na jeden krok od siebie, chcąc się nią nacieszyć przez krótki czas, jaki na tę przyjaźń pozostawał. Wyprosiła nawet, że pozwolono Morsztynównie podzielić mieszkanie królowy, aby się z nią nie rozstawała. A królowa nie sprzeciwiała się zawsze z tych samych powodów, wiedząc dobrze, że ta obojętna jej zresztą

przyjaźń przerwać się musi z odjazdem młodej księżnej elektorowej do Bawaryi.

Taka to więc niedawna ale najmiłsza towarzysza księżnej, jej pierwsza druchna przy ślubie, siedziała i w czasie przedstawienia owej włoskiej opery, z boku przy krześle księżnej, cofnięta niby trochę w tył, aby główne miejsce przy córce miała królowa, ale mimo to tak bliska przyjaciółki, że ta mogła z nią nieraz myśli wymieniać, zwracając ku niej ciężką ozdobami głowę. W chwili jakiejś krótkiej przerwy w operze, potężnie nudnej z kądinąd, Morsztynówna, cicha lecz swobodna wszędzie, jak w ojcowskim zamku, powstała z miejsca bez szelestu, aby wygodniej spojrzeć, gdzie też jest ojciec?... Oczywiście wszystkie liczne oczy zwróciły się na tę białą, smukłą lilią, wystrzelającą tak z pośrodku wiązanki bogato strojnego niewieściego kwiecia.

— Usiądź! albo ja się rozplączę z zazdrości, bo wszyscy tylko na ciebie patrzają! — rzekła z cicha z uśmiechem księżna elektorowa, żartując szczerze, a patrząc sama z zachwytem na prześliczne, choć dziwne dziewczecę. Morsztynówna usiadła, obojętna na oczy ludzkie, uśmiechnąwszy się zdaleka patrzącemu także na nią ukochanemu ojcu; po to się podniosła przecież. Usiadłszy odpowiedziała księżnie:

— Wiesz, dla czego patrzają?

— Wiem! — rzecze księżna stanowczo i wesoło, a nie spuszczać z niej oka, które nie mogło oderwać się od jej piękności.

— Ale gdzie tam! wcale nie dla tego! — swobodnie odpowie znów tamta: — Oni patrzają dla tego, że ja jedna pośród pań wszystkich nie jestem uróżowana!

Księżna rozśmiała się, bo one obie nieraz już dosłyszały szeptów dworskiego tłumu, wzniesionych ukazaniem się Morsztynówny, a tak lub podobnie wyrażanych:

— Morsztynówna! to ta piękna? ta mądra! ta! A czemu nie uróżowana?... — tak szeptała gawiedz, wspinając się na palce, aby lepiej widzieć rozsławiony cud piękności i nauki.

— Bo też odważna jesteś, żeby się sama opierać panującej modzie!... — rzekła znów młoda księżna, i dodała po chwili, tłumiąc westchnienie, a patrząc na matkę, zajętą żywą rozmową z posłem francuzkim:

— Ciekawam, coby też to królowa powiedziała, gdybym ja nie chciała się różować...

Morsztynówna, dobrze zasłyszawszy westchnienie, rzekła niedbale, aby załagodzić tłumiony żal księżny względem surowości matczynej:

— Eh, to taka rzecz błaha, że niema o co się sprzeczać z modą i z jej zwolennikami. I jabym

się uróżowała najchętniej, gdyby ojciec tego żądał; ale on, nie tylko nie żąda, ale nawet nie lubi tego.

Młodzi królewicze, Aleksander i Konstanty, kochający serdecznie siostrę, z którą wkrótce rozstać się mieli, znaleźli się zaraz przy niej. Księżę



Płaszcz (str. 300).

Po skończonej operze, miały nastąpić tańce. W przerwie księżna, znużona siedzeniem, wstała, kazala zdjąć z siebie płaszcz, i wzięwszy Morsztynównę pod rękę, przechadzała się po sali balowej.

Dymitr Wiśniowiecki, przyjaciel królewiczów osobisty i szczery, młoda Maryanna Zamoyska, Jan Jabłonowski i kilka pań starszych, otaczały księżną. Ale wszystkie oczy i wszystkie rozmowy

kierowały się właściwie nie do księżny, lecz do towarzyszącej jej Morsztynówny. Wszyscy byli ciekawi tego głośnego wówczas zjawiska; każdy rad był wciągnąć w rozmowę słynące mądrością dziewczątko. Ona, przyzwyczajona do wywoływanego przez się wrażenia, do tej ciekawości ludzkiej, nie wiele na nią zważała, może i nie dbała o nią, i nie spostrzegła jej. Małomowna i skromna z natury, nie wdawała się też wcale w rozmowy, aby się w nich popisywać rozumem i nauką. Przeciwnie z całą prostotą młodej dziewczyny wołała najczęściej zbywać ludzką ciekawość wesołemi żartami. Zresztą niezapytana wprost, wołała milczeć. Tak i w chwili owęj przechadzki po zamkowej sali w przerwie zabaw, milczała spokojnie Teresa Izabella wśród gwarnęj otaczających rozmowy, niezbyt uważnie przysłuchując jej się nawet.

— Słyszysz! słyszysz? i cóż ty na to? no, odpowiedz prędko! — rzekła elektorowa, przyciskając sobie do boku rękę przyjaciółki, na której się wspierała, a spostrzegłszy, że Izabella, jakby zbudzona z zamyślenia, nie wie podobno o czém mowa, dodała z uśmiechem:

— Ciekawi jesteśmy wiedzieć, my wszyscy, jak to było z tém zaklęciem? kto? jak i kiedy ciebie zaklął?...

— Natychmiast powiem — z gotowością Izabella odrzeczła — tylko, czy nie mogłabym wpróżd się dowiedzieć, zkąd się wziął ten żart o zaklęciu? To jest raczej — dodała szybko — co, i jakim sposobem wydało się przed światem z tej historii mego zaklęcia?

Morsztynówna mówiła tak, stosując się wesoło do gawędki towarzyskiej i obracając ją w żart. Księżna elektorowa spojrzała po obecnych:

— Jak się to wydało? zkąd wiecie państwo, że wojewodzianka jest zaklętą? dla czego tak nazywacie wojewodziankę? — pytała.

Książę Wiśniowiecki odpowiedział:

— Jak się tajemnica wydała, my nie wiemy, miłościwa księżno! Ale że wojewodzianka jest zaklętą, to wiemy z ogólnej pogłoski. Że zaś i my sami tak pannę wojewodziankę mianujemy, to z powodu, że pogłoskę ludową znajdujemy trafną!

— I dla czegoż to? jeśli wiedzieć można? — pytała znów młoda księżna, znużona, znudzona długo trwającymi zabawami, do których wcale w sercu usposobioną nie była, ale z dworską ławością przedłużając rozmowę, ponieważ rozmawiać wypadało. — Dla czego lud nazywa wojewodziankę zaklętą? i dla czego państwo uznajecie to mniemanie ludowe trafném? Proszę nam to powiedzieć! prędko, bez namysłów! a za to usłyszymy od wojewodzianki całą prawdę o tém zaklęciu!

Jabłonowski Jan, starszy syn hetmana, wielce gładki i roztropny kawaler, skłonił się księżnie, i mówił wedle rozkazu prędko i bez namysłu, z takim koniecznym umyślnie wyrazem, że tém do szczerzego uśmiechu księżnę i wszystkich pobudził.

— Lud nazywa wojewodziankę sandomierską zaklętą dziewicą dla tego, że milcząca, piękna i cicha, jak zaklęta, rozsiewa ona naokoło siebie dobre uczynki, jak prawdziwe niebiańskie zjawisko, bez rozgłosu, bez szelestu, tak, jakby sama o własnych nie wiedziała uczynkach. My potwierdzamy najzupełniej ludową gawędę i uznajemy ją trafną i prawdziwą dla tego, że w istocie widzimy wojewodziankę piękną, jak nadziemskie zjawisko, że znamy ją mądrą niezwykle, i z rozgłosu w całym świecie uczonym i z każdego słówka najmniejszego, w którym się mimo jej wiedzy i woli ta mądrość wydaje. Ale mimo to widzimy ją skąpiącą tych słówek i osłaniającą się milczeniem niebian, zniżających się do stosunków z ziemianami!

To wypowiedziawszy jednym tchem Jabłonowski, odetchnął, udając niby zmęczenie własną wymową dla żartu; ale przytém uklonił się znów głęboko, jako dworski grzeczny kawaler, a w oczach miał prawdziwą powagę, cieniem tylko żartobliwości przysłoniętą. Księżna elektorowa zwróciła się do swęj ulubionęj towarzyszkii i rzekła teraz z prawdziwem zajęciem:

— A więc?... z tego cośmy usłyszeli wypada istotnie, że ty jesteś zaklętą dziewczęciem; książe dowiódł nam tego, a teraz ty opowiedz, jak, kto i kiedy ciebie tak zaklął? Ciebie, młodziutkie dziewczę, przed którym wiosna szczęścia i radości skarby swe kwitnące dopiero otwiera, kto ciebie zaklął na tę milczącą powagę i ciszę?...

(D. n.).

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

Znowu wracamy do wspomnień mych, które chociaż nie tak daleko jeszcze za mną zostały, nęcąc mnie dziwnym jakimś urokiem... budzą się w pamięci, wskrzeszają chwile zwykłe, powszednie, a jednak tak drogie, bo niepowrotnie minione! Myśleć nie mogę bez łzy w oku o tych latach chłopięcych, szczęśliwych, kiedy jeszcze myśl ciekawa nie rwała się w przyszłość, ciesząc dnia dzisiejszego pogodą!... I dziś jeszcze macierzyńskie tuli mnie skrzydło, czujne oko ojca od złego strzeże, domowe ognisko ciepłem otacza, mam przy sobie wszystko, co serce ukochało, czemuż więc, czemu żał mi tak chwil ubiegłych, czemu myśl tęskna ku

nim się zwraca i odtworzyć, upamiętnić pragnie każdy szczegół najmniejszy?

Jedną z większych naszych przyjemności były kąpiele w Bystrzycy i spacery na Bronowice. Bystrzyca wije się wąską wstęgą wśród zielonego obszernych łąk kobierca, wartko pędzą jej wody, połączone pod miastem z rzekami Czerniejówką i Czechówką, dalej ku Wieprzowi. Wydawała mi się wtedy rzeką olbrzymią, wspaniałą, zanurzyć się w tej czystej wodzie, ale nie w łazience, swobodnie, na powietrzu, było naszym marzeniem. Jakaż to rozkoszna droga prowadziła do tej kąpieli! Szliśmy na dół za kościół Bernardynów, szybko z wysokości spuszczać się góry; dalej dołem na prawo małą uliczką, gdzie było zupełnie inaczej, niż w mieście. W tumanach kurzu bosa biegały dzieciaki, psy uwijały się żwawo, gromadki kur, z kogutem na czele, grzebały w śmieciach, często wyminać trzeba było leżące w błocie stworzenie, potem na lewo przechodziło się koło studni z żórawiem, dalej płot, poza nim łąka, miękka, zielona, zdradliwa, a taka nęcąca. Tam się zdejmowały buciki i pończoszki, które w węzłku, na kijku, na plecy się zarzucało, i dalej galopem pędziło się na wyścigi do migającej w dali na obszernym błoniu rzeczki.

Ileż to razy grzęznąć przyszło po kolana, z trudnością i śmiechem obłoczone z trzęsawiska wydobywając nóżki. Zuzia się dobrze spociła, nim nas do brzegu doprowadzić była w stanie, tam nowa radość: na białym piasku muszelek tyle, a na brzegu, pod mułem, raki się nawet znajdowały niekiedy! Prześcieradłem małe łapaliśmy rybki, w czystej przeglądali się wodzie, urządzając prysnice i wodotryski z białej wodnej piany. Z ubieraniem nowy kłopot dla biednej Fräulein. Nakoniec wymyśli, z mokremi główkami, a zsiniałą od zimna buzią, zaczynamy gwałtownie o podwieczorek się upominać, głód zniewala, że śpiesznie wracamy do domu, ciepłej napić się herbatki, która się często u nas kończyła tak nazwanym „balem“.

„Bal“ było to czarodziejskie słowo, które uspokajało i koło największe nasze zmartwienia. Mama wychodzi, zostajemy sami z Zuzią w domu, rozpacz nas ogarnia, bo z mamą najlepiej nam zawsze było. Jej obecność za wszystkie starczyła nam przyjemności i bawiliśmy się rażniej, gdy siedząc przy stoliku z książką lub robotą, spoglądała na nas z uśmiechem, i książka nas wtedy nie nudziła, bo mama najpiękniejsze umiała wybierać powiastki, i tak jasno, tak prawdziwie nam je opowiadać, że wcale nie wyglądały na bajeczki, a rzeczywistością wydawały się prawdą, a przenosząc nas w świat inny, pozwalały zapominać o zabawach, koniku, a nawet gimnastyce. Bal tylko,

bal jedynie mógł nas pocieszyć i uspokoić, bo też wtenczas na owym balu przestawaliśmy być sobą; każde z nas kilka piastowało godności i musiało najrozmaitsze przedstawiać osoby.

Nas było troje, a potrzebowaliśmy kucharzy, lokajów, państwa domu, dzieci i gości. Przygotowania do balu były najwięcej zajmujące, siekaliśmy, tłukli, urządzali różne niebywałe mieszanki, a co najciekawsze, gotowaliśmy i smażyli na małej, prawdziwej kuchence, co już było szczytem szczęścia.

Co niedziela i święto chodziliśmy zwykle na spacer na Bronowice. Daleko to było od nas, ale od katedry na dół piękna, równa, osadzona młodemi drzewami prowadziła ulica, osób szło tyle, a dokoła tak pięknie było, tak szeroko, zielono. Na lewo, na wzgórzu, malutki, biały, a taki śliczny wznosi się kościółek Misyonarzy, przy którym mieści się seminaryum, przed nim dużych lip parę i miękka, rozkoszna murawa. To była nasza stacya wypoczynkowa. Pod lipami rozkładaliśmy się z podwieczorkiem, bo wszak należało popać konika i dalej w drogę.

Coraz mniej domów, a więcej powietrza, łąk i zieleni, trzeba było przechodzić most na Bystrzycy, a mnie zawsze od dzieciństwa ogromnie zajmowały mosty, ich budowa, urządzenie, wielkość, to też nie mogłem nigdy spokojnie przejść przez most i tęp nabawiałem nieraz starszych strachu. Raz, pamiętam, niepostrzeżony przelazłem przez niską poręcz, otaczającą most i spokojnie szedłem sobie po drugiej stronie poręczy, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, tęp groźniejszego, że most wznosił się wysoko nad Bystrzycą, a silny wiatr gwałtownie poruszał moją małą osobką. Przerazenie Zuzanny było ogromne, bo choć trzymałem się silnie poręczy, ale mogłem łatwo stracić równowagę. Skończyło się szczęściem tylko na tęp, że wiatr mi zerwał kapelusz, który Bystrzycą popłynął ku Wieprzowi.

Na Bronowicach w niedawno założonym ogrodzie, parku raczej, znajdował się tak nazwany „foksal“, dom, w którym była duża sala z bufetem, zaopatrzonym w doskonałe mleko, kawę, ciasta i pierniki. W tym parku były karuzele, młyny djabelskie, huśtawki, kręgle, strzelnica nawet. Tam to używaliśmy wraz z licznie zwykle zbraną publicznością prawdziwie niedzielnej zabawy.

Naprzeciw foksalu, w wieńcu olbrzymich nadwiślańskich topoli, akacyj i drzew owocowych, wznosił się dwór, należący do właścicieli Bronowic, położony nad Czerniejówką. Tam wstępowaliśmy nieraz z mamą na poziomki, któremi nas gościnnie raczyła pani domu, nadzwyczaj miła, uprzej-

ma, wesoła pani A. Chr... Było tam dużo pawie o tęczowych piórach, a parę rzadkich białych, ale były i bardzo złe psy, które raz ogromnie biednego Kazia pokąsały i nowy poszarpały mu paltoć. Kilka lat temu (1876) pani A. Chr. umarła, a Bronowice stały się własnością pani S. siostry zmarłej. U niej to już byliśmy raz na dożynkach, wiejskiej uroczystości, urządanej na zakończenie letnich zbiorów. Była tam śliczna angielska charciczka Ledi, jej syna małego „Frazesika“ dostaliśmy w darze, nie taki ładny jak Ledi, ale przywiązany i rozumny piesek, dziś już ma lat 8.

Pod samymi Bronowicami, obok parowego młyna „Kośminek“ rozpoczynano za naszych czasów robić wysoki nasyp pod plant budującej się drogi Nadwiślańskiej. Zajmowały nas bardzo ogromnej objętości taczki, napełnione piaskiem i ziemią, jakie dźwigali robotnicy, przybyli w tym celu z odległych gubernij cesarstwa, a których nie mogli ruszyć z miejsca słabsi od nich miejscowi żydzi. Dziś dobroczynna ta kolej już od kilku lat ukończona, jeździmy nią często do Lublina i do Nałęczowa, o którym następnie napiszę. Przenosząc się jednak do Warszawy w 1876 r. jeszcześmy doznali przyjemności kołowej podróży, która mnie do dziś dnia trwożą przejmuję, tak to było wygodnie, pośpiesznie i wesoło tłuc się w bryce po szosie przez całą dobę... i to jeszcze w Li-stopadzie!

(D. c. n)

PTASZNIK.

I w worku i w ręce z wielkim pękiem ptactwa,
Poszedł chłopak na targ sprzedać te biedactwa.
I do Zosi mówi: — Kup panienka proszę,
Bo napróżno z tém się przez cały dzień noszę.
A Zosia odrzecz: — Gdyby były żywe,
Kupiłabym ptaszki, by puścić na niwę...

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M. . . a.

(Dalszy ciąg).

Kasia objęła ją ramionami drząc, i dwie dziewczynki, przytulone do siebie, tłumiąc łkanie i spoglądając, to na smutne niebo, to na udających sen braci, płakały. Tak zakończyło się ostatnie

posiedzenie w Izbie Radnej na piątku w otocy nie.

Być może, iż niejedyn czytelnik młody, a więc niedoświadczony, nie zrozumie, o co właściwie chodziło dzieciom malarza w tej ostatniej naradzie, i co mianowicie podziało na nich zabijająco, a przedewszystkiem *rozprzegajaco*, tak, jak działają niektóre powolne trucizny. Takiemu czytelnikowi postaramy się wyjaśnić, że dzieci malarza zaszły w opisaną naradzie dalej, niżeli same chciały, jak się to zresztą zdarza ludziom dorosłym na posiedzeniach prawdziwych Izb radzących, gdzie idzie o dobro państw, ta to właśnie okoliczność podziała na nich rozprzegajaco.

Kazio, zaczawszy od niedawnego czasu dawać korepetycje i brać za nie pieniądze, powziął strasznie wielkie i wysokie rozumienie o sobie samym i o nauce, którą uczniów swoich obdarzał, a co w istocie i jedno i drugie było tak dobrze, jak niczem. Ale małe Kazio początkujący nie rozumiał tego, że w obec majestatu prawdziwej nauki, jego początkowa naučka może być ledwo abecadłem, i żądał, żebyrodzeństwo ceniło ją sobie przynajmniej tak, jak ci, którzy mu za nią po dwa-dzieścia pięć złotych na miesiąc płacili.

A tymczasem starsze rodzeństwo, ucząc się od niego i kochając go swoją drogą, uważało go zawsze za malca Kazia i nic więcej. Więc pan korepetytor chciał się podrożyć, ale więcej nic. A wtém, gdy on się drożyć próbował, jego rodzeństwu zrobiło się przykro na sercu, i wszyscy z tą goryczą w sercach usunęli się od Kazia. On cenił naukę swoją, odkąd na niej zarabiał, i tém więcej, o ile zarabiał więcej; a oni znów, ceniąc tak samo jak i on zarobek, nie wiele na pozór cenili naukę jego, za którą nie płacili, choć w gruncie rzeczy i on i oni znali prawdziwą wartość rzeczywistej nauki, bo to im dawno ojciec wytłómaczył.

I dla tego to i im żal było przestawać się uczyć, i jemu smnienie wyrzucało, że się z tą nauką podrożył i przez to jej rodzeństwu jakby odmówił, co wszyscy zaraz na seryo wzięli do serca. Ale koniec końców dzieci malarza, kochające się dotąd pomiędzy sobą, jak Bóg przykazał, odsunęły się nagle od siebie sercami, jakby naprawdę jakaś nitka, związująca je, pękła, przegryziona zębem jakowejś potwory. Nitką tą pękniętą była pierwotna miłość bratnia, a potworą, przyczyną wszystkiego złego, była żądza grosza, zarobku, posiadania, która jest miła i dobra z początku, jak małeńkie tygrysiatko, ale która, gdy jej rozrość się pozwolimy, staje się tygrysem, dziką potworą, przegryzającą najświętsze węzły rodzinne, a którejto potwory imię jest: Chciwość.

Czy widzieliście kiedy z bliska, jak drwał sie-

kierą kawałek drzewa przecina? jeżeli nie, to zobaczcie i zauważcie: drwał uderza ostrzem siekiery w polano postawione na sztorc. Ostrze zagłębia się w drzewo zaledwie na parę cali, a polano tak napoczęte rozdziela się już dalej samo ze siebie pod siłą tego uderzenia, i kawałek drzewa całkowity, jeden i tenże sam, wspólnie z tegoż samego pnia wyrosły, rozdziela się od góry do dołu na zawsze. Daremnie przykładalibyście już potem do siebie te rozłupane części drewna, one będą przystawać najzupełniej, ale gdy je puścicie, rozpadną się; i nigdy już się, nigdy nie złączą, chyba... chyba gdybyście je skleili. Bo znów drzewo, dobrym klejem stolarskim skleione, prędzej pęknie w miejscu nienaruszonem, nizeli na sklejeniu.

To ostatnie twierdzenie jest faktem dowiedzonym. A z tego faktu wypadaloby, że ktoś chcący mieć jakiś sprzęt drewniany, z mocnego drzewa zrobiony, powinienby przedewszystkiem drzewo to rozłupać czy rozedrzeć, a potem klejem stolarskim skleić, ażeby mieć sztukę drzewa niespożyta. Że w niektórych razach tak się właśnie w sztuce stolarskiej dzieje, o tém wie każdy, ale nie każdy wie może, że toż samo zupełnie dzieje się z sercami ludzkiemi, gdy wzrosłszy z jednego pnia razem, bywają następnie gwałtownie, jak piorunem rozdarte, a na ostatek nowem uczuciem potężniejszym jeszcze od pierwotnego bratniego uczucia dziecięcego złączone. Takie wypróbowane uczucie doświadczonych ludzi, łączące rozdarte serca, jak ów klej doświadczony łączy rozdarte drewno, nazywa się bratnią przyjaźnią, i zjawia się bardzo często między rozłączonemi w dzieciństwie sercami rodzeństwa, jeżeli uczucie miłości silnie w tych sercach było wszczepione od urodzenia.

Czy w sercach dzieci malarza istniał ów wszechmocny pierwiastek miłości, to mogło się dopiero z czasem okazać, a tymczasem serca te, dotąd zwykłym rodzinnym uczuciem spojone, zostały gwałtownie rozdzielone pierwszą żądzą, która między nie jak ostrze żelaza zapadła: chciwością.

Noc przeszła ciężko; z żywego drzewa, gwałtownie rozłupanego, sączy się sok drzewny w pierwszych chwilach; z oczu dzieci malarza sączyły się łzy. Wszyscy udawali, że śpią przez większą połowę nocy, i wszyscy nad ranem zasnęli naprawdę, ponieważ byli znużeni i młodzi.

Nazajutrz pozrywali się bardzo rano, nie patrząc sobie wzajem w oczy i śpiesząc do swych zatrudnień, które dnia tego miały ostatecznie rozstrzygnąć o ich rozłączeniu. Wszyscy śpieszyli, aby ostatecznym rozstrzygnięciem rzucić z serca ciężar gniotący.

Powiecie może, iż najprędszym sposobem zrzu-

cenia tego ciężaru było właśnie spojrzeć sobie prosto w oczy, uściskać się, rozmówić, pogodzić, i nie rozstawać. Zapewne, i oni czuli to samo, ale na to trzeba było, aby żądza zarobku, chciwość, nie stała pomiędzy nimi. A ona stała właśnie, i oto co mówiła każdemu z nich do ucha:

„Niech się tam trochę pogniewają, że ich uczycie nie masz ochoty, za to ty będziesz mieć więcej czasu na korepetycyę, prędzej zbierzesz pieniądze na domek, a jak wszyscy w nim w dostatku zamieszkacie, to oni się gniewać przestaną, zobaczysz”, szeptała Kaziowi.

„Smarkacz, chce, żebym go o jego uczenie prosił; obejdę się bez jego geometryi, a ja majątek zrobię i dom kupię, i mieszkać mu w nim pozwolę, to on się puszyć przestanie, i on i te dziewczynny, które z wielkiego uszanowania dla jego nauki w dumę go wbiły. Jeszcze nikt dotąd z nauki domu nie kupił, a z kupiectwa niejedyn”, szeptała znów Olesiowi.

„Patrzaj go! on znajdzie dziesięć miejsc wygodnych na świecie, a ja żadnego! zobaczymy”! mówiła do siebie Kasia, zapomniawszy wieczornego bolesnego wzruszenia, a pamiętając tylko to, w czem zniewagę uczuła. I wszystko troje rozbiegli się co prędzej na miasto, goniąc za swemi sprawami. A za nimi powoli wyszła Aneczka, wyrzucając sobie, że nie umiała zastępować matki, i próbując nadaremnie po kilka razy wtrącić słówko pojednawcze. Oni wybiegli, nie patrząc sobie wzajem w oczy, i ona wyszła za nimi.

W tydzień od tego dnia, po południu, musiała Aneczka przeprowadzić się ze wszystkiem na nowe mieszkanie, raz się już do tego zobowiązawszy. Przystępując próg Izby Radnej, z ostatnim węzłem, idąc do czekającej na nią dorożki, i oddając Izbę sąsiadce, Aneczka ociągała się z tém wszystkiem, ociągała, sama nie wiedząc dla czego, aż jakiś krzyk dziecinny odwołał sąsiadkę, wynajmującą Izbę, do jej dawnego mieszkania obok. Wtedy Aneczka odetchnęła, spojrzała prędko po wszystkich kątach izby, a potem, jak nieprzytomna, kłękając przed krzesłem matki przy stole, jęknęła i załamała ręce.

— Oj, mamusiu. przebac ty mi, żem ja nie umiała wytrwać, moja wina! moja wina!.. — i zerwawszy się, łkając pobiegła do dorożki, bo już sąsiadka wracała.

Takim sposobem każde z czworga rodzeństwa pomieściło się gdzie indziej za pracę swoją. W pierwszych dniach tej rozłąki było im tak ciężko na duszy, że nawet chłopcy, choć niby twardszej natury, przecież rady sobie dać nie mogli. Zdarzyło się, że nogi poniosły ich same we zwyczajnej godzinie zwyczajną drogą, którą ich tyle lat

nosiły, i dwaj bracia spotkali się niespodzianie u drzwi Izby Radnej. Spojrzawszy sobie w oczy, dopiero ocknęli się i rozskoczyli poczerwieniawszy. Powiedzieli sobie dobry wieczór, a bąknawszy coś o interesach do gospodarza domu, odbiegli od drzwi Izby Radnej, poza którymi obce dzieci coś radziły. Narzekając na złe oświetlenie schodków, wyszli z sionki i dziedzińca i rozbiegli się w ulicę, jakby wstydząc się tego spotkania.

I wstydzieli się naprawdę. Czego? oto pytanie, na które rzadko kto potrafi odpowiedzieć, chociaż prawie każdemu zdarzyło się wstydzić w ten sposób. Chłopcy wstydzieli się tego, że w zamyśleniu, tęsknotą wiedzeni, zaszli do kąta, w którym z rodzicami i ze sobą razem życie dotąd przeżyli. Wstydzieli się, że zdobywszy się na mądrą spekulacją z wynajęciem Izby Radnej, jak ludzie, teraz żalowali tego tak bardzo, że aż chciało im się zapłakać nad tą spekulacją, jakby byli dziećmi. A więc oni wstydzieli się tego, że mieli serce! A przecież mieć serce nie jest żadnym wstydem. Wszyscy o tym wiemy, a mimo to wstydzimy się, udając gorszych niż jesteśmy; a jest to zwyczajem ludzkim tak pospolitym, że jeżeli się znajdzie ktoś taki, kto się sam serca nie wstydzi, ale niemi przechwala, to zwykle ten go właśnie ma mniej od innych. I długo zapewne będzie trwać takie zamieszanie z sercami ludzkimi, nim jedni przestaną się niemi przechwalać a drudzy się ich wstydzić; a gdy przestaną, wtedy Królestwo Boże zstąpi na ziemię.

Dzieci malarza, niezadowolone z tego, co zrobiły, i z samych siebie, zajęły się pracą, aby uciec od własnych myśli. I wtedy dopiero rozpoczęła się gonitwa za groszem. Szał chciwości opanował czworo rodzeństwa, przesadzającego się wzajem w jak najobfitszym zbieraniu i jak najskąpszym wydawaniu pieniędzy. Powiadają, że się przesadzali, bo nie trzeba sądzić, aby wraz z rozłączeniem się tych dzieci i z pęknięciem pierwszej, od niemowlęctwa wiążącej ich nitki bratniego kochania, miały już i stosunki ich uleść zmianie, jakby się pogniwiali. Nie, nikt się na nikogo nie gniewał, choć wszyscy ból i żal mieli w sercach. A cały układ, dotyczący kapitału, i marzenie o domku w zieleni, stało jak mur. Główny kapitał był u kupca, zwiększając się procentami; a nowy, cząstkowy kapitalik, schowany w starym, dużym pugilaresie Aneczki, rósł istotnie szybko, wiodąc początek swój od owego pierwszego wniosku Kaziowego, który był pierwszym odstępstwem od zasad ojcowskich.

W godziny wolne od pracy, które w każdym zawodzie mają pracujący, dzieci odwiedzały się

wzajemnie, odnosząc najstarszej każdy grosz zarobiony. A każde zaglądało ciekawie do księgi, aby zobaczyć, ile też przyniosło drugie?.. I tak raz Oleś, przybiegłszy w niedzielę na chwilę do Aneczki, gdzie go dobrze znano, i przyniósłszy dziesięć rubli, zobaczył w księdze, że Kazio przyniósł ostatnim razem dwanaście, i zasmucił się Oleś, a odchodząc, zaręczył Aneczce, że i on potrafi zarobić dwanaście i więcej. Na to rzekła Aneczka, ręce składając:

— Och, mój drogi Olesiu! proszę cię, jak dopiero co Kazia prosiłam, zróbmy my po raz drugi to, cośmy już raz dawniej z rozkazu ojca zrobili: przestańmy gonić za zyskiem; cośmy zrobili, to się już stało, ale teraz zatrzymajmy się na pochyłej drodze nieposłuszeństwa i pracujmy już spokojnie, tak, jak teraz pracujemy, dopóki rodzice nie wrócą.

— Cóż to za słabe, chwiejne, niedołężne stworzenia są te kobiety — odrzekł brat, ramionami wzruszając, — chciałoby się im i tego i owego, ale się boją, postępują niby, a cofają się. Nie, moje dziecko, nie tak iść trzeba przez świat, chcąc dojść do celu. Jeżeliśmy już raz zabrnęli, to teraz pozostaje nam już tylko przebrnąć na drugą stronę, wierz mi. Im twój pugilares będzie grubszy, tym mniej będzie ojciec za powrotem niezadowolony z naszego nieposłuszeństwa. Ho ho, znam ja się na tym! — zakończył Oleś, pięścią palcami podgarniając czuprynę; i zabierał się do odejścia.

— Bracie! jak ty śmiesz tak mówić o ojcu? czyś ty widział, czy zobaczysz kiedy bardziej bezinteresownego człowieka? — krzyknęła Aneczka przerażona, bo już to nie po raz pierwszy Oleś wyjeżdżał przed nią ze zdaniem i wyobrażeniem, których nie zdobył pewno, ani z własnego serca, ani z rozumnych książek. On machnął ręką lekceważąco.

— Bracie, strzeż się! wiesz, jak ostrożnie trzeba być z ludźmi nieznanymi, a mnie się zdaje, że ty od niedowarzonego mędrka jakiegoś jego zdania przejmujesz; to co powiedziałeś jest nieprawdą i zuchwalstwem; wstydź się!

Na takie surowe i z niesieniem wypowiedziane słowa, Oleś zacerwienił się, i unosząc się także, powiedział z gniewem, jak zwykle czynią winowajcy, chcący tym gniewem zagłuszyć własne sumienie.

— A to się wstydź ty sama! co nam wiecznie kazania prawisz, a tak samo zламаłaś ojca i matki rozkazy, jak i my, chociaż najstarsza jesteś i niby na matki miejscu z nami zostałaś; proszę! komu to tu prawić perory.

I to powiedziawszy, wyszedł Oleś, zostawiając

siostrę oniemałą ze wstydu i grozy; bo koniec końcem chłopak miał słuszość: Aneczka była winna, a więc nie miała prawa drugim ich błędów wyrzucić. Chociaż swoją drogą i ona miała słuszość, bo chłopak widocznie wchodził na jakąś złą drogę, nie powstrzymywany już nauką i przyjaźnią rodzeństwa, a zwłaszcza przyjaźnią Kazia, który swym poważnym sposobem myślenia mimowiedzy wielki na niego dawniej wpływ wywierał.

Po raz to pierwszy zamienione zostały tak przykre wyrazy między rodzeństwem; węzły, łączące je jeszcze, rozwiązywały się widocznie: Aneczka poczuła to i rozpląkała się gwałtownie, padając na kolana i pytając Boga, czemu jęj raczj wprzódj ze świata nie zabrał, zanim dała zły przykład i zgorszenie w młodych sercach zasiała!

Taką płaczącą rozpacznie prawie zastał ją Kazio, który przyszedł oznajmić, aby niespokojną o niego nie była, gdyż on na zimowe wakacje z pewnym uczniem swoim do rodziców jęgo jako korepetytor wyjeżdża. I poszedł sobie powiedziawszy to Kazio zakłopotany, zamyślony o czemciś tak bardzo, że się nawet o resztę rodzeństwa nie spytał, i na Aneczkę patrząc, jęj łęz nie widział.

W godzinkę późnij, zwyczajnie jak w niedzielę, przyszła i Kasia na chwilę tylko, bo zaraz iść miała na Saską Kępę w towarzystwie panien sklepowych i ich krewnych. Spojrzawszy na fioki Kasi, siostra rozpląkała się znowu na myśl, coby rodzice powiedzieli, widząc tak młodziutką dziewczynę wystrojoną zbytkownie, w nieznanom towarzystwie, na zamiejskiej przechadzce, oni, którzy dla tego gotowi byli dzielić zawsze wszystkie zabawy swoich dzieci, aby te dzieci nie potrzebowały bawić się bez nich. Ale Kasia przygryzła usta i zachmurzyła się, zarumieniona na widok łęz siostry i bąknęła coś o tyranii starszych sióstr, i o tēm, że kto pracuje, ten ma prawo rozporządzać zapracowanym groszem. Bo trzeba wiedzieć, że żądza strojów tak opanowała Kasię w eleganckim sklepie, między postrojonemi pannami sklepowemi, że teraz, zarabiając coraz więcej, składała na zielony domek coraz mniej u Aneczki. Wstydząc się tēj zmiany, zwłaszcza w obec gorliwości braci w gromadzeniu pieniędzy, pomawiała Aneczkę o tyranię, kiedy ona tylko z żalu nad własną winą i z obawy o rodzeństwo, rozchodząc się po ślikskich jakichś drożynach, pląkała.

Trzecie takie zajście, to było jnż za wiele dla najstarszj z dzieci malarza. Aneczka, załamawszy ręce na takie nieporozumienie, odchodząc prawie od zmysłów, zarzuciła te ręce na szyję Kasi, opowiadając jęj wśród łkań przepawę z Olesiem, i chłodne, a coraz chłodniejsze stosunki z Kazien;

potēm, przypomniawszy jęj ów wieczór ostatni w Izbie Radnej, gdy obie pierwszy raz gorzko pląkały, zakłęła ją, aby przynajmniej one dwie pozostały dla siebie czēm niegdys były, nim owo coś pękło wśród nich czworga w ów wieczór.

Kasia nie była ani złą, ani też jeszcze zepsutą, chociaż już pozwalała unosić się prądowi lekko-myślności, na który weszła, zeszedłszy ze ścieżyny wskazanej przez rodziców. Zrozumiawszy rozpacz Aneczki, bardzo naturalnie rozpląkała się też sama, cisnęła kapelusz, odrzuciła przyprawne loki, podpięła ogon u sukni, żeby go znać nie było, w kieszeń schowała dewizkę, mającą udawać, że ona ma zegarek, i uściskawszy siostrę, i przyrzekłszy znów, że bądź co bądź one dwie nie pogniewają się ze sobą do śmierci, usiadła przy nięj radząc nad braćmi...

Tak siedziały, pocieszając się wzajem, aż wrócili państwo, u których Aneczka była nauczycielką a z niemi dzieci, które umyślnie co niedziela popołudniu zabierali z sobą, aby młoda dziewczyna mogła swobodnie przyjmować odwiedziny rodzeństwa. Małe te dzieci kochały łagodną i rozsądną swoją przewodniczkę Aneczkę, przyniosły też ciastek, które im kupiono, aby poczęstować niemi Aneczkę i jęj gości. Rzecz to drobna i wzmianki nie warta, ale od dzieci małych znaczy wiele. To też ten dowód przychylności wychowanek rozczulił Aneczkę biedną, a rodzice dzieci, widząc jęj niezwykle wzruszenie i znając po trochu jęj kłopoty, poprosili Kasię, aby z siostrą została na cały wieczór i w święta na całe dni do nięj przychodziła. Więc choć tylko z jedną Kasią ze swoich, przeciw w przychylnj atmosferze przepędziła Aneczka święta... Mój Boże, jakże to hałaśliwie wesoło bywało w te święta niegdys w Izbie Radnej, gdy ojciec rozswawolił się naprawdę! jakby był najstarszym bratem swych dzieci.

D. c. n.

ZAGADKA HISTORYCZNA Z nagrodą.

Znakomity mąż stanu, dzielny wojownik, wysoki dostojnik, prawy i zacny obywatel. Zwyczajem czasu swojego, kształcił się głównie poza granicami ojczyzny, a w jednem z miast obcych, słynnych z uczoności, pozyskał zaszczytny stopień naukowy.

Powróciwszy do kraju, starał się wiedzę nabytą zużytkować dla dobra rodaków, zdobył zaufanie narodu, a wpływem swym przeprowadził wiele

spraw bardzo ważnych, wiele ustaw krajowych zmienił lub przerobił.

Za życia jego trzy razy obierano nowego króla, a zawsze z głównym jego współdziałaniem. Jednego zwłaszcza, a dzielnego monarchy, był on doradcą, przyjacielem; pragnąc jedynie dobra kraju, nie wahał się stanowczością i energią swoją stawić czoła możnowładztwu, ukrócić zgubne zachwalstwo.

Mógł był w czasie bezkrólewia sięgnąć po koronę, lecz wolał popierać króla, w którym wielkie pokładał nadzieje; a popierał go czynnie, z bronią w rękę. Zawiódł się jednak, ale jakkolwiek nie mógł pochwalać postępowania króla, i nawet jawnie je potępiał, nie usuwał się nigdy od postug publicznych, od trudów wojennych i jeszcze w sędziwym wieku pokilkakrotnie bronił dzielnie granic ojczyzny przed nieprzyjacielem. Powstrzymywał od rokoshu stronników swoich, równie jak on niechętnych królowi i zawsze pragnął się z nim pogodzić.

Sam uczony, popierał nauki, założył akademię, otaczał się ludźmi uczonymi, wszelką zasługę cenił i szanował. Był mówcą niepospolitym, wślawił się także jako pisarz, praca jego, pisana po łacinie, wielkie uznanie pozyskała za granicą.

(Kto nadeśle najlepsze rozwiązanie powyższej zagadki, otrzyma w nagrodę książkę pod tytułem: *Pamiętniki Paska, opracowane dla młodego wieku przez Laskarysa*).

S Z A R A D A (Rózia D).

O pierwszej-drugiej: wcześniej myśleć trzeba,
Póki trwa młodość, nadzieją bogata;
By byt zapewnić i na stare lata
Mieć cichy kątek, i kawałek chleba —

To też na trzeciej, połączonej z drugim,
Zrównanej bronią, wyoraną plugiem,
Zasiewa ziarno rolnik pracowity,
I ufny w Bogu, nie lęka się głodu —
Wszystko: król dzielny, i wódz znakomity,
Zawsze zwycięzca — mściciel swego rodu.

Łamigłówna zgłoskowa (Teresia S.).

Z następujących zgłosek: i — el — czy — szczy — wrze — za — bier — ki — ki — ab — cko — sień — jasz — im — mo — bis — kon — i — za — żyk — ca — le — rad ułożyć 10 wyrazów: 1. Mieszkaniec azyatycki

z czasów biblijnych. 2. Roślina korzenna. 3. Zabawka. 4. Imię męskie. 5. Prorok. 6. Futro. 7. Nazwa miesiąca. 8. Bożek Egipski. 9. Ptak krajowy. 10. Miasteczko w Galicyi. Pierwsze litery i ostatnie czytane z góry do dołu, utworzą nazwiska dwóch poetów polskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Zagadki mnemonicznych:

Resurrecturi.
Ostatni rok Zygmunta III-go.
Kraszewski.
Obrazy z życia.
Stara Baśń.
Z siedmioletniej wojny.

Łamigłówny gloskowy:

Chłop strzela Pan Bóg kule nosi.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wincentyne S. w Lubieszowie. Chociaż z dużych literek liściku poznać można, że je stawiała nieduża rączka, jednak nie znaleźliśmy na trzech stronicach ani jednej omyłki, a podpis: „serdeczna przyjaciółka“ niezmiernie nas ucieszył. Mamy nadzieję, że podróż, która się wkrótce rozpocznie, nie mniej się podoba kochanym czytelnikom od Przygód Adasia i Zosi. Nadesłana łamigłówna jest dobra i niezadługo będzie wydrukowana. Rozwiązania wszystkie są trafne. Mamie zasылamy ukłony i dziękujemy za tyle życzliwości dla nas.

Wafdzl M. w Warszawie. Byliśmy pewni, że odezwa nasza trafi do poczciwych serduszek naszych czytelników. Dwa złote, nadesłane dla ubogiej wdowy na założenie sklepiku, oddaliśmy do redakcyi Kroniki Rodzinną. Łamigłówna dobrze ułożona i śliczną kaligrafią napisana, będzie wkrótce zamieszczona w Pisemku.

Olesiowi R. w Warszawie. Nietylko liściki ze stron dalekich, ale i z bliższych okolic, a nawet miejscowe, mogłyby być drukowane w Pisemku pod rubryką „Korespondencyi Wieczorów Rodzinnych“ byle tylko zawierały treść zajmującą dla czytelników. O takie korespondencye prosimy bardzo wszystkich kochanych naszych prenumeratorów; w każdej okolicy i w Warszawie można przecież znaleźć do tego stosowne przedmioty.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



OSIEŁ.

BAJKA.

Nie pamiętam w którym mieście,
Będzie temu lat ze dwieście,
Piękny się osieł urodził.

A że powabny,
I zgrabny,

Chcieli zatem rodzice, żeby do szkół chodził.

Do gimnazjum więc oddano
Naszego oślego syna.

Tam się zaczyna
Uczyć fizyki,
Matematyki,

Słowem, czego tylko chciano.

Brał tam przez kilka lat ciągle nauki,
Lecz zawsze ostry nieuki,
Bo choć tak wiele czasu zmarnotrawił,
Nic w swój głowie nie zostawił,
Nic się nie nauczył przecie.
Lecz tak to bywa na świecie,
Że choćby całe życie nawet do szkół cho-
[dził,
Zginie osłem zapewne, kto się osłem ro-
[dził.

Ignacy Stopczński.

MATECZKA FASOLA.

(z FRANCUSKIEGO).

I.

Przy końcu zeszłego lata, w pewnym warzywnym ogrodzie dogorywała mateczka fasola. Jak wszystkie mateczki tego rodzaju, żyła tylko pięć miesięcy. Mateczka fasola, doszedłszy tego wieku, była już staruszką zgrzybiałą, suchą, pomarszczoną, wyżółkłą. Wciągu krótkiego swego żywota mateczka ta wyhodowała liczną rodzinę. Trudno byłoby zliczyć, ile miała dzieci. Stary ślimak sadowy utrzymywał, że więcej niż pięćdziesięcioro, ale mniejsze ślimaczki nie chciały temu wierzyć i naliczyły niespełna pięćdziesięciuro.

I to jednak gromadka nielada, a trzeba pamiętać, że mateczka fasola w pierwszych dniach Maja dopiero z ziemi wychodziła. Wprawdzie rosła prędko, bo we trzy dni już miała dwa duże listeczki i podnosiła je w górę do słońca. We dwa tygodnie już podrosła sporo, a w miesiąc taka była duża, że się nie mogła o własnej sile utrzymać. Musieli więc zatknąć przy niej tykę, a ona zaraz na nią owinęła długą i giętką łodygę.

Nasza fasolka miała z czego wyrastać, bo korzonki jej, zagłębione w ziemię, ciągle z tamtąd czerpały obfitość pokarmu. Tuż obok wyrósł mały chwaścik, tak przewalili ogrodni-

cy pewną roślinkę, która wydaje drobne ziarenka lubione bardzo przez ptaszki.

Na tym Bożym świecie każdy ma swoje przykrości i fasolka ich nie uniknęła; dnia pewnego, chmurno było, deszcz padał, duży ślimak wgramolił się na łodygę fasolki i pożarł jęj dwa najładniejsze listeczki. Zmartwiła się nieboga i przez cały dzień była smutna. W tydzień później niegodziwy owad, turkuć, podciął jęj kilka korzonków, grzebiąc sobie przejście podziemne. Tym razem biedna fasolka o mało nie zginęła, opuściła listeczki i przez kilka dni nie mogła przyjść do siebie. Mały chwaścik, który się szczerze przywiązał do fasolki, tak się nad nią rozżalił, że się aż rozplakał; przez dni kilka drobniutkie łezki błyszczały co rano na jego listeczkach. Obaczyła to stara ropucha i rzekła:

— Masz też czego płakać! Wam ziółkom tak dobrze na świecie. To ja jestem prawdziwie nieszczęśliwa.

— A toż dla czego?—zapytał chwaścik — cóż tobie jest, powiedz, proszę?

— Niby to nic, — odrzekła ropucha z westchnieniem — mam co jeść, to prawda, w ogrodzie pełno żywności, ale mi przykro strasznie, że mię nikt nie lubi. Wszyscy mówią, że jestem brzydka, nawet i ogrodnik, któremu przecież niemałe oddaję usługi, zawsze mię nogą kopnie, ile razy mu stanę na drodze. To też tak już śmiałość straciłam, że się ukrywam przez cały dzień i w nocy dopiero się wysuwam z mojej kryjówki.

— Już to prawda — rzekł chwaścik — że ładną nie jesteś. Taką masz postać niezgrabną i ocięzła, takie brzydkie brodawki na skórze i brzydsze jeszcze gruczoły na głowie. Ale za to śliczne masz oczy, a to wiele znaczy. Spójrz na mnie, ja przecież także piękny nie jestem, ogrodnicy wyrrywają mię bez litości, przezwali mię chwastem, niepotrzebnem zielskiem, a jednak ja się na los swój nie skarzę, czuję się nawet szczęśliwą, bo jestem użyteczną. Wiesz przecież, z jakim smakiem ptaszęta zjadają moje ziarenka. Dla tego to ludzie, co nie mają takich uprzedzeń, jak ogrodnicy, dają mi imię: rdest ptasi. Piękność jest rzeczą przemijającą, a dobre uczynki zawsze pozostawiają trwałe wspomnienie. Wiesz co, moja ropucho, gdybyś ty przyszła codzień i zabierała sobie ślimaki, które pożerają żywcem moję poczciwą przyjaciółkę, fasolkę, miałybyś smaczne jedzenie, a jęjbyś wielką przysługę zrobiła. Obiebyśmy cię za to lubiły.

— Naprawdę?—spytała ropucha.

— Ale niezawodnie; zapytaj sam moję przyjaciółki — rzekł chwaścik.

Fasolka pochyliła listeczki na znak potwierdzenia. Ropucha ucieszona, że ją ktoś przecież lubić będzie, przychodziła codziennie i zjadała każdego ślimaka, który się chciał brać do fasolki, i prawdziwa przyjaźń zawiązała się tym sposobem pomiędzy biednym zwierzątkiem i dwiema roślinkami.

(D. c. n.)

DO SZCZĘŚLIWYCH DZIATEK.

Dziewiąta wybiła na zegarze ściennym, Działwa się bawiła w salonie obszernym. To w kotkę i myszkę, w babkę i zającą, Ten tego łapie, dogonił, potracą.

— Dziateczki, spać idźcie, bo już wielka pora, Dość już tęg zabawy dzisiaj od wieczora....

Oczki wasze senne i nóżki pomdlały, Ty daj dobry przykład, mój Tadziumiu mały. Ale nasz Tadziumio, mimo tęg zachęty By zostać w salonie, wynalazł wykręty.

— Matusiu, natychmiast, wprzód ty zagrać ra- [czysz,

My sobie potańczym, zgrabniuchno, zobaczysz...

Dokładnie, uważnie i z piruetami, Jakby nauczyciel był pomiędzy nami.

Na tęg prośbę synka Mama z sofj wstała, Polki i mazurki dla swęj działwy grała.

Idzie tan ochoczy, wyskakują żwawo, A zawsze do taktu, to w lewo, to w prawo, Nawet mały Janek na ręku piastunki, Nóżki, rączki zwracał w przeróżne kierunki. Przeszło dwie godziny płałali wesolo, Po całym salonie kręcąc się wokoło...

Aż wyrzekła Mama:—Dość już tego krzyku, I pobiegła działwa tam do pokoiku, Gdzie ich miękkie, czyste łóżeczka czekały, A nad każdym wisiał święty obraz mały. Rozebrawszy działki, Mama je okryła I całując każde do snu otuliła.

Ciepło dzieciom było, cichutko, więc śnili, Że Mama im grała, a oni tańczyli....

A na dworze burza śnieżna tak szalała, Jakby w swych objęciach ziemię zmrozić [chciała.

W ponurych izdebkach drżały z zimna działki, Bo zabrakło drzewa w kominku u matki. Jest także na świecie wiele takich dzieci, Dla których sieroctwa smutna gwiazda świeci.

Wy, dziatki szczęśliwe, o cierpiącej braci
Pamiętajcie zawsze, a Bóg wam zapłaci.

Marya Ciświcka.

LUTEK.

Lutek był dobry, posłuszny chłopczyk, póki mu mucha nie usiadła na nosie; a na nieszczęście te muchy pojawiały się bardzo często, i latem i zimą, gdy żadnych much nigdzie niema. Wtenczas z grzecznego Lutka robił się jakby inny jaki chłopczyk, grymasny, nieznośny, nawet i twarzyczka mu się zupełnie zmieniała i wykrzywiała tak brzydko, że niemiło było patrzeć na niego.

Dnia pewnego, gdy Lutek był zupełnie greczny, oczki miał pogodne, wesołe, Mama wzięła go na kolana i mówiła:

— Powiedz mi, moje dziecko, czy nie lepiej ci teraz, czy nie czujesz się daleko szczęśliwszym, aniżeli wczoraj wieczorem, podczas tych brzydkich grymasów, o których wolałabym już nawet nie wspominać, gdyby nie to, że chciałabym koniecznie mojego synka wyleczyć z takiego brzydkiego nałogu. Nie musi to być przyjemnie płakać, mazać się, chrypnąć z krzyku; doprawdy, chciałabym wiedzieć, dla czego to dzieci bywają niegrzeczne, skoro im z tym wcale nie jest dobrze? A może ja się mylę, może to rzecz bardzo miła tak grymasić? Odpowiedzże mi, mój Lutku.

Ale Lutek nic nie odpowiadał, tylko oczki schował na ramieniu Mamy, bo mu się strasznie wstyd zrobiło. Zaczął myśleć o tym, co Mama powiedziała i przekonał się, że ona miała słusność. Te grymasy, płacze, krzyki, to nie była przecież wcale rzecz przyjemna. Zawsze, ile razy brzydka ta mucha usiadła na nosie Ludkowi, zmęczyła go tylko i nic więcej.

Więc pocóż się mazał i grymasił? Ha! żeby to dzieci zastanawiały się nad tym, co robią, poznałyby nieraz swój nierozsądek i uwierzyłyby odrazu rodzicom i starszym. Jeszcze tegoż samego dnia mucha zjawiła się znowu; bona Lutka nie pozwalała mu siadać na oknie, bo zimno było i wiało trochę z lufcika. Chłopczyk upierał się koniecznie, że chce patrzeć przez okno i zaczynał już, swoim zwyczajem, krzyczeć, wrywać się, chociaż wiedział dobrze, że to się na nic nie przyda, bo bona miała polecenie od Mamy, ażeby do niej przyszła, gdyby sobie sama z Lutkiem rady

dać nie mogła. A z Mamą nie było sposobu, skoro na coś pozwolić nie chciała.

Wtém nagle przypomniał sobie Lutek rozmowę z Mamą i pomyślał:

— Będę krzyczał, wrywał się, zachrypnię i zmęczone się, a w końcu trzeba będzie usłuchać. Cóż mi z tego przyjdzie? Lepiej odrazu usłucham, nic tam zresztą niema tak osobliwego przy tym oknie.

I odszedł Lutek grzecznie, przestał grymasić, aż się bona zadziwiła, że tak prędko dał sobie wyperswadować. Ale chłopczyzna przekonał się, że dobrze na tym wyszedł. Zamiast płakać, mazać się, zabawił się przy stoliku blaszanymi żołnierzami i zapomniał prędko o oknie.

Odtąd Lutek, ile razy mu się zachciało grymasić, przypominał sobie, że to mu żadnej a żadnej przyjemności zrobić nie może, tylko przykrość, i zupełnie się od tego odzwyczaił. Już potem mucha wcale go nie nachodziła.

PRZYGODY KLARUNI.

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

(Dalszy ciąg).

Ale Klarunia, zniechęcona własnem uprzedzeniem, nie starała się wcale o zrozumienie tych pięknych i łatwych do pojęcia nauk, lecz nadąsaną miną powtarzała mechanicznie wyrazy, przedstawiając się daleko więcej ograniczoną, aniżeli była w istocie.

Kiedy nadeszła godzina rysunków, dziewczynka, pomimo że w tym jedynie miała cokolwiek zamiłowania, pomazała przecież takie koszlawe i krzywe kreski, że trudno było przypuszczać, aby kiedykolwiek rysować się nauczyła. Przy fortepianie było toż samo, ani jednego akordu nie zdołała wybrać, ani jednej nuty przeczytać. Pani Miłoszowa jednak bez żadnego zniecierpliwienia powtarzała bez końca to samo, nie zdawała się być wcale zniechęconą, i można było przysiąc na to, że ona potrafi sto razy, tysiąc i stotysięcy razy powtarzać tłumaczenie jednego przedmiotu, aż póki najmniej roztropna uczennica w końcu nie będzie zmuszona zrozumieć. Przynętem wzrok pani Miłoszowej z takim niezachwianym spokojem był utkwiony w Klarunię!...

— Ach! to okropne—mówiła sobie dziewczynka—więc tak będzie i dziś, i jutro, i zawsze....

Aż dzień przeszedł nakoniec. Klarunia je-

dnęj chwili nie zmarnowała, a przecież nie czuła się wiele zmęczoną, tylko rozdrażnioną ogromnie. Przed wieczorem pani Miłoszowa zapowiedziała przechadkę po ogrodzie, lecz zaledwie weszły w szpaler grabowy, a nauczycielka chwilowo odwróciła spojrzenie od dziewczynki, gdy ta gwałtownie rzuciła się naprzód, pobiegła szeroką ulicą, jak szalona, nie myśląc nawet, gdzie ucieka. Aż musiała się nakoniec zatrzymać. Ogród się kończył, przed nią było jesioro, świecące gładką, przezroczysto-lśniącą, niby zwierciadło, powierzchnią swoją, w której się przeglądały ciemne z sąsiedniego lasu jodeł wierzchołki. Nie widać było łódki; słupek, służący do zarzucania małej kotwicy, stał samotnie na brzegu.

Klarunia załamała ręce. Cisza panowała tu zupełna, tylko gwałtowny bieg dziewczynki wywołał pewne zamieszanie. Kilka rybek plusnęło w wodzie, aż gęste bąbelki na wierzch trysnęły. Jaskółki, modremi skrzydełkami muskające tonie wody, furknęły sobie do góry. A z drugiej strony jeziora, od lasu, na wysokości jodle uczepiona wiewióreczka, spłoszona szelestem, poskoczyła w gęstwiny liściastych krzewin.

— O ja nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza ze wszystkich stworzeń na ziemi!—zawołała z rozpaczą dziewczynka—mamże pędzić życie w takim ucisku, pozbawiona zwobody, widoku słońca i nieba, męczyć się w tej okropnej sali, słuchać tej nieznośnej kobiety, mordować się przy książkach, bez których świat doskonaleby się mógł obejść, a które oczywiście złego ducha są wymysłem! Takie drobne zwierzątka oto żyją tak wesoło, niczem nie dręczone, mają swoją wolę i dni całe pędzą na swobodnych igraszkach, a tymczasem ja nieszczęśliwa!... O jakże zazdroszczę wam, rybki i jaskółeczki, jakżebym chętnie zamieniła się na los twój, mała, szczęśliwa wiewiórko! Dla mnie życie staje się nieznośne, umrzebym już wołała!...

I szalona dziewczynka zaczęła płakać gwałtownie, biegnąc pędem, i zapuszczając się coraz dalej w gęstwinę leśną. Nakoniec znużona, nieprzytomna prawie, padła pod drzewem, i leżała tak długo, aż wreszcie myśli jej dziwnie plątać się zaczęły. Sama już niewiedziała, gdzie jest, zdawało jej się, że widzi zawsze jezioro, które jednak pozostało za nią daleko. Dziewczynka wpatrzyła się w nie, i nagle

w samem środku woda zaszumiła gwałtownie, jak gdyby obfite źródło gdzieś z głębi wybuchło, a pośród fal, wznoszących się do koła, oczom zdziwionej Klaruni ukazała się postać, niby jakiejś kobiety bladłej, osłoniętej długim płaszczem srebrnym, w wieńcu ze złotych promienistych gwiazd na czole z czarodziejską różczką w ręku.

(D. c. n.)

ZAGADNIENIE ARYTMETYCZNE (Tadzio Kr.)

Józio miał dwie monety wartujące po 5 kop., trzy monety po 3 kop., i sześć monet po 2 kop. Za te pieniądze kupił sobie 9 jabłek po 3 kop. Resztę rozdał ubogim, każdemu po 1 kopiejce. Ilu było ubogich?

Łamigłówka zgłoskowa (Alinki).

Z następujących zgłosek: łan—cław—liń—ciń—da—lec—ki—si—ski—ski—kro—ro—o—e—ik—i—cho—go—gu—wa—wicz—zyd— ułożyć 10 wyrazów jak następuje: 1) Nazwa człowieka i jeziora na Polesiu. 2) Utwor poetycki. 3) Niejeden już zielenieje. 4) Zacny i sławny człowiek. 5) Rodzaj ziemi. 6) Od bicie dźwięku. 7) Imię męzkie. 8) Człowiek złym czynem wstawiony. 9) Ptak. 10) Syn Igora. Pierwsze i ostatnie litery, czytane od góry do dołu, utworzą nazwiska dwóch znakomych rodów, o których pisano w „Wieczorach Rodzinnych“

Rozwiązania do Nr. 17-go.

Szarady:

War—kocz.

Łamigłówki zgłoskowej:

Wylew
Izabella
Samowar
Łomot
Armata

Wisła — Warta.